

AGNIESZKA SZCZEPANIAK-KROLL
Instytut Archeologii i Etnologii PAN, Poznań

„KIEDY POZNAŃ BYŁ NIEMIECKI”.
ŻYCIE CODZIENNE W POZNANIU NA PRZEŁOMIE XIX I XX W.
Z PERSPEKTYWY NIEMIECKIEJ RODZINY DITTRICHÓW

I

Problematyka tzw. życia codziennego podejmowana jest od wielu lat. Naukowcy zajmujący się codziennością wskazują na liczne walory tego typu badań. Maria Bogucka (1996, s. 248–253) i Tomasz Szarota (1996, s. 243–244) podkreślają możliwość dokonywania generalizacji poprzez analizę pojedynczych zdarzeń i indywidualnych doświadczeń jednostki. Wielkie wydarzenia wpływają bowiem bezpośrednio na „życie codzienne”, które z kolei odgrywa pośrednio rolę w powstawaniu doniosłych faktów. Badania nad codziennością zmuszają do inwencji w wynajdowaniu przekazów źródłowych, pozwalają realizować hasła integracji nauk humanistycznych, dzięki nim można połączyć opis materialnych warunków egzystencji człowieka ze sferą życia duchowego (mentalność, nastroje, postawy) oraz obyczajowością. Odtworzenie i analiza „życia codziennego” stwarza okazję do ujęć komparatystycznych, a więc pokazywania podobieństw i różnic sytuacji, w jakiej znaleźli się mieszkańcy porównywanych państw, rejonów, grup religijnych lub społeczności.

Zalety badań nad codziennością zostały docenione przez badaczy dawnego Poznania, o czym świadczy fakt, że tematyka ta podejmowana jest w dość szerokim zakresie od kilkudziesięciu lat. Powstały liczne prace poświęcone sposobom ubierania się, mieszkania, szkolnictwa, życia społecznego, sposobów spędzania wolnego czasu itd. Niektóre publikacje opisują dzieje znanych poznańskich rodów, wraz z elementami ich życia codziennego, inne są rodzajem pamiętników lub dzienników autorstwa mieszkańców miasta. Wśród wielu wydawnictw stosunkowo mało jest osobistych wspomnień czy refleksji Niemców, zamieszkujących przecież Poznań przez stulecia. Większość wydarzeń możemy oglądać głównie z perspektywy Polaków–Poznaniaków. Tę lukę w pewnym zakresie powinien wypełnić artykuł poświęcony niemiecko-poznańskiej rodzinie Dittrichów, wykorzystujący cenne źródło informacji, jakim jest pamiętnik jednego z członków rodu. Jego autor, Wilhelm August, urodził się w Poznaniu pod koniec XIX w. i spędził w mieście lata swej młodości (w 1919 r. wyjechał do Wrocławia). Należał do trzeciego pokolenia Dittrichów, zamieszkujących Wielkopolskę od pierwszej połowy XIX w. Wilhelm August, obok zapisków dotyczących losów swojej rodziny, wiele refleksji poświęcił Poznaniowi, znajdującemu się pod

zaborem pruskim. To miasto uważał za swoją pierwszą „małą ojczyznę”, a po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. długo nie mógł przyzwyczaić się do myśli, że już nigdy nie będzie ono niemieckie.

Niemcy, a także Żydzi, tworzyli zawsze najliczniejsze – obok Polaków – grupy mieszkańców Poznania. Osadnictwo niemieckie w Wielkopolsce sięgało średniowiecza. Na przełomie XIII–XIV w. na zaproszenie rady miasta Poznania przybywać zaczęła zarówno ludność wiejska, jak i miejska. Władze stwarzały dla niej dogodne warunki egzystencji oraz obdarzały licznymi przywilejami. Kolonizacja ta była niezwykle korzystna dla rozwoju ekonomicznego ziem polskich. Kolejne fale osadników napływały aż do upadku Pierwszej Rzeczypospolitej. Ludność przybywała głównie z krajów niemieckich (po wojnie północnej osiadła w Poznaniu i jego okolicach duża fala emigrantów z Biskupstwa Bamberckiego) a także z Niderlandów. Niemcy należeli do tego samego kręgu kulturowego, co Polacy, wyznaczonego głównie przez religię i wynikające z niej wartości i postawy. Ten fakt miał wpływ na stosunkowo szybki proces ich asymilacji. Problemy ze scalaniem z miejscową ludnością pojawiły się w drugiej połowie XVIII w. i spowodowane były przez wydarzenia historyczne. W wyniku pierwszego (1772 r.) i drugiego (1793 r.) rozbioru Polski cała Wielkopolska znalazła się pod panowaniem Hohenzollernów. Władze zaborcze, zaraz po przejęciu tych terenów, rozpoczęły akcję ich unifikacji z pozostałymi prowincjami Prus. Wprowadzono administrację i prawodawstwo pruskie. Przybyli nowi urzędnicy oraz kolejne fale osadników, złożone z ludności miejskiej i wiejskiej a także szlachta zachęcona przez króla licznymi nadaniami ziemi pochodzącej z konfiskaty dóbr kościelnych i królewskich (Matelski 1997, s. 23–24).

Wśród Niemców przybyłych do Wielkopolski znaleźli się także Dittrichowie, zachęceni korzystnymi warunkami osadniczymi. Poznań był dla nich drugim po Legnicy miejscem osiedlenia na terenie Polski od czasu emigracji z południa Niemiec, która – według pamiętnika Wilhelma Augusta – miała miejsce prawdopodobnie na przełomie XVII–XVIII w. Okoliczności przybycia Dittrichów na tereny Śląska są jednak niejasne. W archiwaliach z okresu wskazywanego przez Wilhelma nie pojawia się nazwisko Dittrich. Pierwsze informacje dotyczą chrztu poszczególnych członków rodziny w kościele luterańskim Zu Unseren Lieben Frauen (obecnie kościół katolicki pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny) w Legnicy i pochodzą dopiero z połowy XVIII w. Także fakty historyczne wskazują na to, że początków polskich dziejów rodziny należałoby szukać najwcześniej w pierwszej połowie XVIII w.

Schyłek XVII w. nie był dla wyznawców luteranizmu najlepszym czasem na emigrację w te strony. Okres silnego wpływu protestantyzmu na terenach Dolnego Śląska minął. Pod koniec XVII w. miasto przeszło pod panowanie pruskie. Katolicki cesarz Leopold I, sprawujący władzę absolutną w Księstwie Legnickim, starał się osłabić swobody polityczne mieszkańców, z dużym niepokojem patrzył również na istniejące w granicach państwa społeczności niekatolickie. Wprawdzie sytuacja międzynarodowa ukształtowana po pokoju westfalskim (1648 r.) uniemożliwiała mu nawracanie innowierców siłą, ale tam gdzie to było

możliwe, starał się utrudnić im życie i ograniczyć ich wpływy. Starosta królewski dbał o to, by wszystkie urzędy w księstwie zajmowali wyłącznie katolicy. Odrzucano kandydatury protestantów do rady miejskiej, odbierano im świątynie. Wielu innowierców w tym czasie opuściło Legnicę udając się do Saksonii i Brandenburgii, a także do nadgranicznych polskich miejscowości, gdzie mieli zapewnioną swobodę praktyk religijnych. Osadnictwu Dittrichów nie sprzyjała również sytuacja gospodarcza miasta, które nie mogło przez lata powrócić do równowagi po wojnie północnej (Chutkowski 1996, s.102–103).

Rodzina przybyła do Legnicy prawdopodobnie dopiero w pierwszej połowie XVIII w., kiedy – po śmierci Leopolda I, za panowania jego syna Józefa – osłabły nastroje kontrreformatorskie. W 1707 r. Józef podpisał konwencję w Altrandstadt, na mocy której wyraził zgodę na swobodę wyznawania wiary przez innowierców. Protestantom zwrócono kościoły, zapewniono dostęp do urzędów i stanowisk, ułatwiono zakup ziemi (Galas, Galas 2001, s. 38–139). Chętnie przyjmowano nowych osadników, także niekatolików. Mogło być to zachętą również dla Dittrichów. W 1758 r. rozpoczęto likwidowanie murów twierdzy legnickiej, co spowodowało rozbudowę miasta. Powstały nowe gmachy użyteczności publicznej potrzebne rozrastającym się urządcom pruskim. Zaczęto brukowanie ulic, wprowadzono oświetlenie gazowe. Pod koniec XVIII w. Legnica była średniej wielkości miastem, porządnie utrzymanym, choć pozbawionym perspektyw awansu do rangi znaczącego ośrodka, z racji swego położenia z dala od ważnych szlaków handlowych.

Na Śląsku przyszedł na świat pierwszy, znany z imienia, członek rodziny – Chrystian. Jego syn, o tym samym imieniu, urodził się również w tym mieście około 1809 r., lecz zmarł już w Poznaniu. To prawdopodobnie z jego inicjatywy Dittrichowie zdecydowali się na emigrację do Wielkopolski. Przyczyny wyjazdu mogły być złożone. Od początku XIX w. pogarszała się sytuacja gospodarcza Legnicy. Nie do końca rozebrane mury dawnej twierdzy przeszkadzały w rozbudowie miasta. Tylko pojedyncze ulice zostały wybrukowane, brakowało kanalizacji, wiele domów krytych było jeszcze gontem. Jak pisze Janusz Chutkowski (1996, s. 115) „właściwie wszystko, co było potrzebne do życia mieszkańców: oświetlenie ulic, zabezpieczenie przed zaprószeniem ogniem i powodzią, a nawet szpital i szkoły znajdowało się w stanie dalekim od należytego. Podupadło rzemiosło, nie mogące skutecznie konkurować z manufakturami, których też nie powstało wiele. Jedynie handel rozwijał się stosunkowo dobrze, chociaż był to głównie handel detaliczny”. Miasto dotkliwie odczuło skutki wojen napoleońskich. Kontrybucje, przymus żywienia stacjonujących wojsk, dostarczania drewna i materiałów budowlanych, zwiększały na długie lata zubożenie ludności. W wyniku niezadowolenia społecznego pozbawionych pracy i zarobków mieszkańców, a także pod wpływem nastrojów rewolucyjnych (Wiosna Ludów) doszło w Legnicy w 1848 r. do rozruchów. W ich rezultacie zniszczonych i splądrowanych zostało kilka budynków.

Chrystian Dittrich, pracujący jako robotnik dniówkowy, zarabiał niewiele. Ponieważ pracowników fizycznych nie zatrudniano wówczas na stałe, mógł mieć

okresowe problemy ze znalezieniem pracy. Pogarszająca się sytuacja materialna rodziny oraz niesprzyjająca atmosfera w mieście były z pewnością bodźcem do rozpoczęcia poszukiwań innego miejsca osiedlenia. Zamysły emigracyjne Chrystiana jako pierwszy zrealizował jego syn Johann Wilhelm August, urodzony w 1829 r. Młody Dittrich pracował jako szewc, następnie powołano go do wojska. Być może jeszcze jako żołnierz znalazł się w Poznaniu, gdzie poślubił swoją rówieśniczkę, Niemkę – Julianne Bahn. Dopiero po pewnym czasie przybyli tu także jego rodzice, zachęteni korzystnymi warunkami osadniczymi, gwarantowanymi przez Niemców.

Na mocy decyzji podjętych w Wiedniu w 1815 r. potwierdzono przynależność ziem polskich I i II zaboru pruskiego do Prus. Weszły one w skład monarchii Hohenzollernów jako Wielkie Księstwo Poznańskie. Polityka osadnicza oraz narodowościowa władz pruskich zmierzała do zgermanizowania Księstwa. Czyniono wszelkie starania, aby ludność narodowości niemieckiej stanowiła co najmniej połowę mieszkańców, włączając do niej nawet ludność żydowską. Od roku 1815 do 1910, w wyniku wysiłków czynionych przez władze centralne i prowincjonalne, liczebność sprowadzanych przez Prusaków osadników wzrosła w Poznańskim z 27,6% do 38,4%. Jednak już w latach 70-tych XIX w. zaczęło występować zjawisko powolnego odpływu osiedlanych na Wschodzie emigrantów do zachodnich prowincji państwa (Ostflucht). Związane to było z bardziej dynamicznym rozwojem i wyższą stopą życiową ludności tamtych prowincji Rzeszy oraz przekształceniem Wielkopolski w zaplecze surowcowe (głównie płodów rolnych) i rynek zbytu. Aby temu przeciwdziałać w 1886 r. powołano do życia Komisję Kolonizacyjną, która podjęła działania zmierzające do zahamowania tych procesów. Stosowano zachęty finansowe, przystąpiono także do osiedlania w Poznańskim ludności z centralnych i zachodnich regionów państwa oraz tzw. Niemców zagranicznych (Matelski 1997, s. 24–25).

Wilhelm August – pamiętnikarz, również uważał, że czynnikiem przyciągającym rodzinę do Wielkopolski były doskonałe warunki do osiedlenia: „Warunki pracy w całej prowincji i w mieście Poznaniu były wówczas idealne. Potrzebowano rolników, pracowników fizycznych, rzemieślników, państwowych i duchownych urzędników. Polityka niemieckiego cesarstwa gwarantowała przybyłym wysokie dochody. Taka zachęta była niezbędna, ponieważ Niemcy nigdy nie osiedlali się na wschodzie z entuzjazmem. A wtedy przybywali całymi zastępami” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 5)¹.

Wspólne życie nowoprzybyłych i miejscowej ludności układało się początkowo dość dobrze. Działo się tak prawdopodobnie dlatego, że osiedlani przez Komisję Osadniczą Niemcy nie tworzyli jednolitej grupy: byli wśród nich koloniści z Westfalii, Saksonii, Turynii, Pomorza Zachodniego, Brandenburgii, Śląska i Wirtembergii, a także reemigranci z Rosji, Węgier i Galicji (Jakóbczyk 1976, s. 103–112). Wśród emigrantów przeważali chłopi, choć pod koniec XIX w.

¹ Pamiętnik został napisany w jęz. niemieckim; polskie tłumaczenie: Agnieszka Szczepaniak-Kroll.

powstał pomysł powiązania osadnictwa wiejskiego z procesem wzmocnienia niemieczyny w miastach (Jakóbczyk 1989, s. 30). Każda grupa reprezentowała inny styl życia, religię, system wartości, mówiła innym dialektem, a co za tym idzie – nie wytworzyła się potrzeba „trzymania się razem”. Poza tym prawie wszyscy Niemcy przybyli do Wielkopolski, aby szybko się wzbogacić, a tylko niewielka część przyjechała z przyczyn ideologicznych. Nie wykształcili więc postawy wrogiej Polakom, którzy – według ich przekonania – mogli stanowić jedynie konkurencję ekonomiczną. W pierwszych latach emigranci nie unikali dokonywania zakupów u miejscowej ludności, korzystania z ich usług. W 1899 r. nie poparli niemieckich kandydatów w wyborczych okręgach Wielkopolski, prawdopodobnie na skutek małego zainteresowania polityką.

Z biegiem czasu jednak sytuacja zmieniała się. Organizacja nacjonalistyczna Związek Rolników, nazywana przez Polaków potocznie od pierwszych liter nazwisk założycieli (Hansemanna, Kennemanna, Tiedemanna,) Hakatą, nasilała swe działania propagandowe, podejmowane wkrótce również przez szkoły i sprowadzanych z Niemiec duchownych. Hasła antypolskie propagowały czasopisma, np. *Aus dem Posener Lande*. Głosiły one Niemcom obowiązek związania się z poznańską „Heimat”. Dla osadników organizowano wykłady o słuszności rozbiórów Polski, zasługach pruskich w cywilizowaniu tych ziem, itd. Urządzano również imprezy rozrywkowe i artystyczne o zabarwieniu „narodowym”. Wydawano szereg ulotek i broszur o charakterze wrogim Polakom. W samym Poznaniu, aby zwabić nowych przybyszów, a dotychczasowym ułatwić życie, wzniesiono szereg nowych gmachów, będących jednocześnie symbolem niemieckiej władzy. Powstały reprezentacyjne budowle urzędowe oraz Muzeum Fryderykowskie (obecnie Muzeum Narodowe) i biblioteka (obecnie Biblioteka Uniwersytecka). Obszar miasta powiększył się o wsie: Jeżyce, Wildę, Łazarz i Górczyn. Założono także Königliche Akademie (Królewską Niemiecką Akademię) pełniącą rolę uniwersytetu, zlikwidowano stary teatr i wybudowano nowy (Teatr Wielki). Co najważniejsze – w mieście wzniesiono zamek cesarski (Jakóbczyk 1989, s. 85–97).

Johann Wilhelm August po zakończeniu służby wojskowej objął posadę w sądzie. Wraz z żoną, Julianne Bahn – Niemką pochodząca z podpoznańskiego miasteczka Śrem, doczekali się dziewięciorga dzieci. Po objęciu przez Johanna stanowiska w urzędzie polepszyła się nieco sytuacja materialna rodziny. Dzięki dogodnym warunkom zagwarantowanym osadnikom niemieckim, mogła ona żyć na o wiele wyższym poziomie niż w Legnicy.

Dittrichowie surowo wychowywali swoje dzieci. Starali się, by wyrosły na porządnych, niemieckich obywateli. Wszyscy potomkowie Johanna i Julianne ukończyli Volksschule, w której poznali podstawy rachunków, historii, języka francuskiego. Choć skromne możliwości finansowe rodziców nie pozwalały na dalsze kształcenie, zaszczepione w domu ambicje spowodowały, że dzieci same zadbały o edukację na wyższym poziomie. W rezultacie najstarszy syn August Dittrich, doktor prawa, został współwłaścicielem największej w Poznaniu firmy spedycyjnej Hartwig & Kantorowicz. Jego młodszy brat Richard, objął funkcję naczelnika stacji (Obrebnhofsvorsteher) w Krotoszynie. Tę samą funkcję

w Jeleniej Górze sprawował kolejny syn Johanna Wilhelma Augusta – Paul. Karl Dittrich był oficerem w koszarach w Poznaniu, a następnie urzędnikiem na poczcie w Poznaniu. Najmłodszy z rodzeństwa, Oskar, został zatrudniony jako główny inspektor na poczcie we Wrocławiu. Cztery córki Johanna Wilhelma Augusta: Hilda, Clara, Ottilie i Martha, zgodnie z ówczesną obyczajowością, nie pracowały. Dzięki korzystnym małżeństwom wiodły jednak dostatnie życie. Z Poznaniem związali się więc tylko dwaj potomkowie Dittrichów – August i Karl.

Ponieważ pamiętnik Wilhelma Augusta, będący głównym źródłem wiedzy o rodzinie, dotyczył przede wszystkim losów Karla i jego potomków, tej gałęzi rodu poświęcę najwięcej miejsca. Dzięki jej historii można będzie poznać rolę Niemców w kształtowaniu obrazu Poznania oraz ich ogląd miasta.

Karl August, po ukończeniu szkoły zawodowej w 1887 r., został powołany do wojska. Odtąd na długie lata związał się z armią pruską, stacjonującą w Poznaniu. W 1891 r. poznał swoją przyszłą żonę i jeszcze tego samego roku odbyły się ich zaręczyny. Związek Karla wywołał oburzenie w całej rodzinie, ponieważ jego wybranka była Polką i katoliczką. Burzyło to dotychczasowe, niepisane reguły Dittrichów, zgodnie z którymi należało unikać kontaktów z Polakami nawet w codziennym życiu, nie mówiąc o bliższych relacjach. Taka postawa przez wieki konsolidowała rodzinę oraz umożliwiała zachowanie niemieckiej tożsamości. Podobną rolę odgrywało wyznanie luterzańskie. Obawy krewnych okazały się jednak nieuzasadnione. Przyszła żona Karla – Marianna Szostkiewicz, nie była wychowana w rodzinie o tradycjach patriotycznych i katolickich, właściwie prawie w ogóle nie знаła swoich rodziców. Jej matka zmarła krótko po porodzie, kilka lat później śmiertelnie, na chorobę, zachorował ojciec. Jediną krewną Marianny była siostra – Paula. Należy przypuszczać, że gdyby Szostkiewiczówny nie zostały tak wcześnie osierocone, ich losy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Być może z przyczyn ideologicznych i patriotycznych rodzice nie pozwoliliby na ślub córki z Niemcem. „Faktem jest, że w warunkach panowania obcej władzy, polskie rodziny tworzyły pod wieloma względami własną, hermetycznie zamkniętą sferę polskości, dzięki czemu były w stanie przeciwstawić się ingerencji pruskich władz zaborczych. W związku z tym rodzina polska, jako najmniejsza komórka społeczna – była już wówczas uznawana za podstawowy i niezwyciężony bastion polskości. [...] Bezpośredni wpływ na Wielkopolanki miał wówczas kler katolicki. Odbiło się to wyraźnie w wychowaniu dzieci [...]. Próby bezpośredniego oddziaływania kościoła przejawiały się także w nieustających przestroгах przed zawieraniem związków małżeńskich z Niemcami – protestantami. Stale zmniejszająca się aż do przełomu wieków XIX/XX liczba zawieranych polsko-niemieckich małżeństw mieszanych, pokazywała dowodnie, że przestrogi nie pozostały bez echa” (Jaworski 1990, s. 27–28).

Brak rodziny, a także charakter wykonywanego zajęcia sprawiły, że Marianna nie odczuwała szczególnego związku z polskimi, patriotycznymi ideami. Już we wczesnej młodości musiała zadbać o własne utrzymanie. Znalazła zatrudnienie jako służąca kolejno u kilku rodzin niemieckich. Ponieważ nie miała żadnych krewnych wychowała się w kulturze swoich pracodawców, zachowując jednak

świadomość swych polskich korzeni. Dwa lata po zaręczynach, 13.10.1893 r., wyszła za mąż za Karla Dittricha. Rok później przyszedł na świat ich pierwszy syn, który żył zaledwie kilka dni. W 1896 r. urodził się kolejny potomek, Wilhelm August, autor cytowanego pamiętnika.

Rodzina żyła wówczas skromnie. Małżonkowie posiadali niewielki dom tuż za murami Fortu IX, w którym Karl pełnił służbę wojskową w randze sierżanta. W chałupie zbudowanej w konstrukcji szachulcowej, nieocieplonej, ogrzewanej małym piecykiem, panowało przenikliwe zimno. W izbach zamiast podłogi było klepisko. W tym czasie, w wyniku nieszczęśliwego wypadku Karl został postrzelony w lewą rękę, co wykluczało dalszą czynną służbę. Jego zaangażowanie i dotychczasowa dobra praca zostały jednak docenione i mianowano go dowódcą straży w więzieniu dla żołnierzy. Wraz z nim do mieszkania w budynku aresztu przeniesiona została cała rodzina. Panowały tam o wiele lepsze warunki niż w poprzednim miejscu. Ustabilizowana sytuacja finansowa umożliwiła nawet zatrudnienie Pelasi, polskiej opiekunki do dzieci. W wieku 5 lat Wilhelm August poszedł do niemieckiego przedszkola. Był to okres bardzo szczęśliwy dla rodziny. Karl zyskał szacunek i sympatię swoich współpracowników. Marianna, nazywana przez niego „Micze”, pomagała mu w pracy z więźniami, choć, jak wspominał Wilhelm August: „Nie lubiła uniformów i wojskowego drylu. I miała rację, ponieważ wówczas przeceniano wojskowe wychowanie, a oficerowie, szczególnie ci młodszy uważali się za półbogów. Śpiewano: «der Soldate, der Soldate – ist der beste Mann im ganzen Staate». Słowa piosenki znajdowały faktycznie odzwierciedlenie w życiu codziennym [...]. Według przepisów żołnierz znajdujący się np. na spacerze ze swoją żoną, na widok wyższego rangą musiał stanąć na brzegu chodnika i salutować. Było to dość uciążliwe, zwłaszcza, że na ulicy, z racji istnienia w mieście koszar wojskowych, nieustannie spotykało się oficerów” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 68).

W 1902 r. Karl Dittrich postanowił (za namową żony) zrezygnować ze służby i zdobyć nowe zajęcie. Szczególne szanse na znalezienie dobrej posady rysowały się wówczas dla Niemców w sądownictwie i administracji. Wpłynęły na to nie tylko nieustannie rozbudowywana struktura pruskiej maszyny biurokratycznej, ale również stopniowe wypieranie z posad Polaków. Wobec dynamicznego rozwoju poczty poznańskiej i pojawienia się szans na pracę, Karl zdał egzamin na urzędnika pocztowego. Początkowo przyjęto go na stanowisko asystenta. Według Wilhelma Augusta, „Ojciec pilnie wdrażał się do swojej nowej pracy. Aby dobrze się przygotować zatrudnił nawet prywatnego nauczyciela, który szkolił go z matematyki” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 69).

Jako nowy pracownik Karl Dittrich musiał zdobywać doświadczenie w małym urzędzie pocztowym i został skierowany na placówkę do miejscowości Buk pod Poznaniem. Przydzielono mu tam mały domek z ogrodem, w którym zamieszkał wraz z rodziną. Na poczcie pracowały oprócz niego dwie osoby: kierownik urzędu i listonosz.

W czasie pobytu rodziny Dittrichów w Buku doszło do wydarzenia, które po raz kolejny potwierdziło niechęć rodziców Karla, a zwłaszcza matki, do jego

polskiej żony. Któregoś dnia kilku krewnych postanowiło odwiedzić Dittrichów. Przy pięknej, letniej pogodzie siedziano w ogrodzie, smakując domowych specjałów Marianny i wyrabianego przez Karla piwa. Kiedy piwnica była niemal opróżniona z zapasów trunku, sześćoletni Wilhelm August stwierdził: „całe piwo nam wytrąbili”, co strasznie zdenerwowało jego babkę. Teściowa Marianny uznała to za szczyt niegościnności i złego wychowania, czemu winna była synowa i jej „polskie wychowanie”. Stwierdziła, że w ten sposób młodzi chcą pozbyć się gości i obrażona natychmiast udała się na dworzec, gdzie dwie godziny w skwarze czekała na przyjazd pociągu do Poznania. Marianna natomiast płakała przez całe popołudnie, ponieważ przygotowując ucztę dla gości próbowała zjednać sobie rodziców męża.

Dittrichowie nie tolerowali Marianny z kilku powodów. Niewątpliwie głównym zarzutem wobec niej było polskie pochodzenie i wyznawana początkowo religia katolicka. Stopniowo dołączał do nich kolejny czynnik: wykształcenie. Historycy wśród przeszkód, które w okresie zaborów uniemożliwiały lub znacznie utrudniały zawarcie małżeństwa wymieniają – obok terytorium, narodowości i wyznania – również barierę społeczną (Makowski 1992, s. 114–131). Niemcom stosunkowo łatwo było ją pokonać, choćby dzięki wykształceniu. Polakom, a zwłaszcza Polkom, przychodziło to o wiele trudniej. Tak więc, Karl uczył się i awansował, zdobywając coraz wyższą pozycję, podczas gdy Marianna, prosta dziewczyna z biednego, polskiego domu, nie miała żadnych szans na awans społeczny. Rudolf Jaworski (1990, s. 31) pisał: „Wprawdzie Wielkopolanki otrzymywały solidne wykształcenie podstawowe, to jednak możliwości polskich dziewcząt w Poznańskim uzyskania wykształcenia wyższego, ewentualnie zawodowego były niezmiernie ograniczone”. Nieliczne szkoły żeńskie, nie dość, że niezwykle kosztowne, reprezentowały o wiele niższy poziom, niż szkoły męskie. Kobiety przygotowywano w nich do roli żony i matki, „ozdoby towarzystwa” a nie do pracy. Teściowie Marianny wydawali się nie dostrzegać tej sytuacji. Awans syna jedynie utwierdzał ich w przekonaniu, że zasługiwał on na „lepszą partię”.

Marianna i Karl starali się nie zaprzętać myśli poglądami Johanna i Julianny na małżeństwo. Bardziej martwił ich bardzo niski poziom szkoły w Buku, do której posłali Wilhelma Augusta. Uczył się on w jedynej istniejącej tam klasie, wraz z polskimi i niemieckimi uczniami w wieku 6–14 lat. Wraz z rozpoczęciem prac polowych, jesienią i wiosną, w małym miasteczku, w którym spora grupa mieszkańców trudniła się rolnictwem, szkoła praktycznie przestawała funkcjonować. Rodzice potrzebowali swoich dzieci do pomocy, przez co niemożliwy był ich udział w lekcjach. Ewaryst Estkowski, twórca Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego, autor podręczników szkolnych i czasopism dla dzieci, sam podlegający swego czasu takiej edukacji, wspominał: „szkółki wyrosły z tradycji katolickiej szkółki parafialnej, ale poddane państwowej, pruskiej kontroli miały teraz nauczać w oficjalnym, niemieckim języku. Przy katastrofalnym braku odpowiednio przygotowanych nauczycieli, nauczał w nich kto chciał, byle umiał czytać i pisać. Z największą odrazą uczyłem się poznawania głosek, zgłosko-

wania i czytania. Rok prawie cały uczyłem się głosek, drugi rok zgłoskowania a w trzecim zacząłem czytać. Również mechaniczna była nauka pisania, bo przez całe trzy lata tylko ćwiczyłem się w niem z wzorów [...]. Kazano tylko liczyć kółka na tablicy ściennej, pisać liczby, potem na tabliczkach dodawać, odejmować” (Estkowski 2001, s. 55).

Marianna i Karl, coraz bardziej zaniepokojeni dalszą edukacją syna, podjęli decyzję o umieszczeniu go na pensji u mieszkającej w Poznaniu, zaprzyjaźnionej, bezdzietnej rodziny Neck i posłaniu do niemieckiej szkoły przy ul. Fridricha Naumanna (obecnie ul. Działyńskich). Była to tzw. „Mytelka”, czyli rodzaj formy przejściowej pomiędzy szkołą podstawową – Volksschule a gimnazjum. Uczęszczali do niej synowie mieszczan, którzy w wieku 14–15 lat mieli poświęcić się pracy w zawodzie rzemieślnika, kupca, czy niższego urzędnika. Nauka dla chłopców trwała siedem lat. Podstawą finansową szkoły było chesne oraz częściowo pieniądze z funduszy miasta. Nauczano religii, języków niemieckiego i francuskiego, matematyki, geografii, przyrody, historii, fizyki, kaligrafii, rysunku, śpiewu i gimnastyki. Wysoki poziom edukacji, jak i ukierunkowanie programu na praktyczne umiejętności, powodowały, że szkoła ta cieszyła się niesłychaną popularnością wśród mieszczan (Trzeciakowscy 1987, s. 301). Wilhelm August wspominał z humorem swoje codzienne przygotowania do zajęć: „Przed wyjściem do szkoły byłem starannie myty i czesany. Pani Neck robiła mi modną wówczas fryzurę «na księcia», smarując włosy obficie tłuszczem, którego straszny zapach czuję do dziś. Podobny, okropny zapach miały moje polerowane na błysk buty. Wstydzilem się być odprowadzany przez moją opiekunkę, więc codziennie szła za mną około stu kroków, aby nikt się nie zorientował, że mnie pilnuje” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 70).

Po pół roku zamieszkiwania Wilhelma Augusta u państwa Neck, do Poznania powrócili Karl i Marianna. Skończył się okres rocznej praktyki Karla w Buku. Marianna zadecydowała wówczas, że wobec bardzo dobrych wyników w nauczaniu Wilhelm August nie może poprzestać na „Mytelce”, lecz powinien uczyć się w lepszej szkole. Swoją edukację przy ul. Naumannna skończył więc na jednej klasie, kiedy rodzice zadecydowali o posłaniu go do jednego z najlepszych poznańskich niemieckich gimnazjów im. Friedricha Wilhelma.

Gimnazjum było najwyższym szczeblem nauczania na etapie szkoły średniej. Ten typ placówki oświatowej cieszył się w Prusach wysokim uznaniem. Ukończenie gimnazjum dawało abiturientom określone uprawnienia, przede wszystkim do podjęcia studiów uniwersyteckich oraz jednorocznej służby wojskowej. Nauka trwała 9 lat. Ponieważ w momencie przejścia Wilhelma Augusta z „Mytelki” wszystkie miejsca w drugiej klasie były już zajęte, musiał ponownie uczyć się do pierwszej klasy. Przez trzy lata Wilhelm otrzymywał najlepsze oceny, co było dużym osiągnięciem. Jak pisali Maria i Lech Trzeciakowscy (1987, s. 318–319): „Wymagania stawiane uczniom były bardzo wysokie. Konieczność opanowania kilku języków: łaciny, greki, francuskiego, niekiedy angielskiego [...] wymagała wielkiego wysiłku. System nauczania oparty na werbalizmie nie zmieniał się przez dziesiątki lat. Od uczniów wymagano pamięciowego

opanowania materiału, niewiele uwagi przywiązywano do samodzielności intelektualnej”.

Również Marianna i Karl nie byli pobłażliwi dla syna. Wilhelm August wspominał, że kiedy po raz pierwszy przyniósł ocenę dostateczną otrzymał solidne lanie. Kary cielesne należały wówczas do kanonu metod wychowawczych. August nie dostarczał rodzicom zbyt wielu okazji do ich zastosowania, lecz niekiedy, jak sam przyznawał, były one całkowicie uzasadnione (np. za podrabianie podpisów rodziców w dzienniczku). Wspominał, że mama z reguły „nacierała mu uszu” lub lekko ścisnęła policzek. Ojciec natomiast przekładał przez kolano i bił cienką gałązką. Wprawdzie nie było to zbyt bolesne, jednak, jak twierdził autor pamiętnika, należało krzyczeć i płakać, w przeciwnym razie metody mogły być zastrzone. Zaznaczył przy tym: „[...] lanie wówczas było czymś normalnym i to zarówno w szkole jak i w domu. Jako dzieci byliśmy z tym całkowicie pogodzeni i muszę przy tym dodać – nikomu to nie zaszkodziło. Dziś jednak jestem jednak przeciwnikiem takiego sposobu wychowywania” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 72–73).

Wilhelm August rozpoczął naukę w gimnazjum w 1906 r., a więc mając 10 lat. Dwa lata wcześniej na świat przyszedł jego brat, Herbert, zwany przez rodzinę „Bobbi”. Dziecko, od małego bardzo chorowite, stało się „oczkiem w głowie” całej rodziny. Marianna i Karl dbali o to, by synowie byli kochającym się rodzeństwem. Ich zamiar całkowicie się powiódł, choć, jak wspominał August, „Herbert od początku miał więcej swobody niż ja. Aby pokazać kto rządzi, na początek, kiedy pierwszy raz zostaliśmy sami, spuściłem mu lanie i zakazałem mówić o tym rodzicom. Po ich powrocie byliśmy już całkowicie zaprzyjaźnieni i grzecznie się bawiliśmy. Jednak następnego dnia Bobby się wygadał, więc ojciec spuścił mi manto. Po pewnym czasie odegrałem się na bracie, tłukąc go niemiłosiernie” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 78).

W tym czasie rodzinie powodziło się finansowo zdecydowanie lepiej. Karl został mianowany głównym asystentem pocztowym (Oberpostassistent). Rodzina wreszcie mogła pozwolić sobie na zamieszkanie w przestronnym i wygodnym mieszkaniu w kamienicy, w nowej dzielnicy miasta na Wildzie, przy Kronprinzenstrasse 104 (obecnie ul. Górna Wilda 85). Do roku 1900 Wilda była obok kilku innych wsi „spichlerzem miasta”. W momencie wprowadzenia się Dittrichów przechodziła przeobrażenia po inkorporacji, przybierając stopniowo miejski charakter. Dzielnice podporządkowano Radzie Miejskiej i Magistratowi. Jej mieszkańcy zostali zrównani w prawach i obowiązkach z pozostałymi obywatelami Poznania, co oznacza, że m.in. otrzymali prawo głosu w wyborach do samorządu miejskiego, choć ograniczone przez cenzurę majątkową. Organem administracji samorządowej, z którym współpracowali mieszkańcy dzielnicy był Urząd Rozjemczy, czyli sąd administracyjny I instancji, zajmujący się sprawami sporno-administracyjnymi. Do jego kompetencji należało rozstrzyganie sporów między właścicielami domów i lokatorami. W działalność urzędu zaangażował się Karl Dittrich. Magdalena Mrugalska-Banaszak (1999, s. 47–50) przytacza jego nazwisko z listy rozjemców wildeckich okręgów z 1914 r. Figuruje na niej jako Rozjemca Okręgu XIX, zamieszkały przy ul. Górna Wilda 85.

Członków Urzędu wyznaczał prezydent miasta, a jego wybór musiał uzyskać akceptację prezesa sądu. Było to więc stanowisko, które powierzano osobom cieszącym się ogólnym szacunkiem.

Tymczasem w gimnazjum Wilhelm przeżywał swoją pierwszą miłość. Jej obiektem była Lottchen Braetz, której rodzice przyjaźnili się z rodzicami Wilhelma Augusta. Aby się z nią widywać, codziennie maszerował z Wildy na Jeżyce, czyli na drugi koniec miasta. Zdarzało się także, że spotykali się w miejscach, gdzie lubili spędzać czas ich ojcowie, a więc w Bismarck Tümel lub w Schillinggarten. W ogrodach takich jak Schillinggarten Poznaniacy, zwłaszcza w lecie, chętnie odpoczywali, popołudniami przygrywały orkiestry, odbywały się liczne zabawy taneczne, grano w kręgle i w bilard, występowały także trupy teatralne. Obydwie rodziny wspólnie wyjeżdżały na wypoczynek do podpoznańskiego Puszczykowa. Było to popularne miejsce wypoczynku klasy średniej oraz poznańskich elit intelektualnych i finansowych. Na początku XX w. wybudowano tam wiele prywatnych willi, przypominających stylem architektonicznym budynki sanatoryjne w licznych europejskich kurortach. Powstały także luksusowe domy wypoczynkowe. Ceniono zdrowe powietrze, piękne krajobrazy (obecnie jest to teren Wielkopolskiego Parku Narodowego), bliskość kilku jezior i Warty. Do oddalonego od Poznania o 20 km Puszczykowa kursowały specjalne pociągi, przewożące letników. Jak pisał Waldemar Karolczak: „Gdy dopisała pogoda władze kolejowe miały problem, jak przewieźć wszystkich «lubowników» puszczykowskich lasów i nadwarciańskiej kąpieli. Pociągi były przepełnione, mimo iż do lokomotywy dołączano nawet kilkadziesiąt wagonów” (Karolczak 1995, s. 66).

Dittrichowie, z wyjątkiem Marianny, która wolała wygodną podróż koleją, wybierali bardziej atrakcyjną, choć okrężną drogę – wiejską furmanką. Co sezon zaprzyjaźniony gospodarz, wracając z targu, zabierał Karła z synami i całym bagażem na wóz. Dzieci zasiadały koło woźnicy pilnie obserwując, co dzieje się po obu stronach drogi. Podróż trwała 5–6 godzin. Co pewien czas robiono przerwy, by zjeść przygotowane przez Mariannę kanapki i napić się kawy. Dittrichowie wynajmowali pokoje u rodziny niemieckich rolników – Kaldenbachów. Dzieci jeździły konno, kąpały się w rzece lub którymś z jezior, przyglądały się żniwom. Rodzice chodzili wieczorami na koncerty lub tańce do „Restaurant Oberberg” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 82–83). W Puszczykowie należało bowiem bywać także po to, by się pokazać i czynnie uczestniczyć w życiu towarzyskim. Panie podpatrywały u innych pomysły na najnowsze toalety, a panowie nawiązywali korzystne znajomości. Było to miejsce „neutralne”, gdzie narodowość kuracjuszy nie grała żadnej roli. Liczył się wypoczynek i dobra zabawa. Konflikty między Polakami i Niemcami zdarzały się rzadko i natychmiast starano się je łagodzić. Przykładem może być historia przytoczona przez Waldemara Karolczaka (1995, s. 68). Przydarzyła się ona wprawdzie w sąsiadującym z Puszczykowem Ludwikowie, lecz wydaje się oddawać atmosferę panującą wówczas w tego typu miejscach. Pewnego letniego dnia w znanej, prowadzonej przez niemieckich właścicieli restauracji kelner zwrócił uwagę paniom zamawiającym posiłek, że powinny

to uczynić w języku niemieckim. Wzbudziło to ogólne oburzenie zarówno wśród niemieckich, jak i polskich gości. Historię opisano w prasie. Kilka dni później w tej samej gazecie pojawiły się przeprosiny właściciela, który obiecywał, iż w jego restauracji nigdy już taki incydent się nie powtórzy.

Wśród przyjaciół Marianny i Karla nie było żadnej polskiej rodziny. Zaprzyjaźnioną osobą była natomiast dużo starsza od Dittrichów pani Wendland, często służąca, zwłaszcza Mariannie, cennymi radami. Jeszcze w czasach, kiedy Karl uczęszczał do szkoły zawodowej, rozpoczęła się przyjaźń z rodziną Weichsmannów. Dom na Wildzie odwiedzali również Schulzowie. Dittrichowie spotykali się z nimi co najmniej dwa razy w miesiącu. Często wspólnie spędzano wakacje.

Marianna dbała, by jej dzieci rozwijały swój intelekt także poza szkołą. Wilhelm August bardzo lubił czytać. Jak wspominał, przy Berlinerstraße (obecnie ul. 27 Grudnia) znajdowała się jego ulubiona księgarnia, będąca własnością Niemca – Spiro. „Matka nie miała pojęcia o niemieckiej literaturze pięknej. [...] Jednak kiedy tylko zbliżały się moje urodziny, czy nadchodziły święta, radziła się pana Spiro, co do pozycji, którą warto kupić. Jemu z pewnością sprawiało wielką przyjemność wychowanie czyjegós dziecka niejako «za kulisami». Zaczął od polecenia przeczytania Karola Maya, później przez Roseggera, Hauffa, poprowadził mnie do Goethego, Schillera, Friligratha, wreszcie Szekspira, Römera, Kleista i Hebbła” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 85).

Marianna dbała również, by dzieci chodziły do teatru oraz do kina, w którym wyświetlano wówczas nieme filmy. Stałym punktem spacerów były również wizyty w którejś z wielu modnych kawiarni, służące nabraniu ogłady towarzyskiej. Wilhelm August szczególnie zapamiętał „Cafe Esplanade” przy Wilhelmsplatz (obecnie Plac Wolności), będącej stałym miejscem spotkań, szczególnie niemieckich mieszkańców miasta.

Marianna i Karl poświęcali każdą chwilę wolnego czasu swoim dzieciom. Po odrobieniu lekcji chłopcy grywali z rodzicami w karty, np. w „66”, czy „Schaffskopf”. Często przychodzili goście – znajomi lub przyjaciele rodziców. Organizowano wtedy tzw. „Loterię”, zwaną także „Gottes Segen bei Kohn”. Chłopcy mieli do dyspozycji wiele rozmaitych zabawek, m.in. drewniane klocki, kolejkę, ołowiane żołnierzyki. W salonie na stole urządzali manewry dla swojego wojska lub stacje kolejowe dla pociągu. Na zabawę Marianna i Karl pozwalali synom dopiero po odrobieniu zadań domowych. Nauka w domu trwała 4–5 godzin dziennie i odbywała się najpierw przy lampach napełnianych olejem, a następnie przy oświetleniu gazowym.

Rodzice Herberta i Wilhelma Augusta dbali o zdrowie i kondycję fizyczną synów. Jak wspomina autor pamiętnika: „Niemał codziennie na kilkanaście minut musieliśmy kłaść sobie na plecach drewnianą łaskę, w ten sposób obejmując ją rękami, że byliśmy całkowicie wyprostowani. Zapobiegało to garbieniu się. W kuchni, w futrynie drzwi mama kazała zamontować drążek, na który mogliśmy się podciągać i robić różne figury. [...] Jeździliśmy również na wrotkach i łyżwach” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 88). W czasie nauki w gimnazjum Wilhelm August należał do szkolnej organizacji „Wandervogel” („Ptaki wędrowne”).

W jej ramach chłopcy pod opieką nauczycieli wyjeżdżali na wycieczki krajoznawcze za miasto. Niekiedy były to nawet wypadki dwudniowe. Główną atrakcją stanowił wówczas nocleg na sianie. W dzień odbywały się rozmaite zawody, a wieczorem pieczono kielbaski przy ognisku.

Jako nieco starsze dzieci Herbert i Wilhelm, zapaleni czytelnicy, odwiedzali Kaiser-Wilhelm-Bibliothek. Chłopcy lubili spędzać czas także w fotoplastykonie „Panorama”, gdzie za kilka groszy, za pomocą specjalnego urządzenia, można było obejrzeć ponad 50 zdjęć pokazujących m.in. egzotyczne kraje, ich mieszkańców i zwyczaje. Wielkie wydarzenie stanowiła również wyprawa do wesołego miasteczka. Miejsce, na którym rozbijano wówczas główny namiot nazywane było „Vogelwiese”, czyli „ptasia łąka”, prawdopodobnie z powodu niezwykle barwnych kramików, wznoszonych w sąsiedztwie wozów cyrkowych, Polacy nazwali je Fogielką. W mniejszych budkach można było zobaczyć np. tresowane pchły, przejrzeć się w zniekształcających postaciach lustrach w „gabinecie śmiechu”, pojeździć na karuzeli, czy kupić tanio różne używane przedmioty. Dorosli w tym czasie jedli kielbaski i pili piwo lub wino podawane w niektórych kramach. Bobby i August lubili również przedstawienia teatryku kukielkowego. W jego repertuarze znajdowały się także sztuki przeznaczone dla widzów dorosłych, np. „Doktor Faust” Goethego. Wilhelm August najbardziej zapamiętał przedstawienie rosyjsko-japońskiej bitwy morskiej: „Armaty błyskały i huczały, ogień wybuchał na trafionych statkach, jeden okręt, po drugim ginał w toni wodnej. To było wspaniale zrobione” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 91).

Ani Bobby, ani Wilhelm August nie zapraszali swoich szkolnych kolegów do domu. Nie było wówczas dobrze widziane zapraszanie dzieci, których rodzice nie utrzymywali wzajemnych kontaktów towarzyskich. W przypadku Dittrichów było to niemożliwe, ponieważ większość uczniów Friedrich-Wilhelm-Gymnasium, wywodziła się z o wiele zamożniejszych kręgów.

Po ukończeniu 16 lat Wilhelm zaczął udzielać korepetycji z łaciny, francuskiego i angielskiego. Lekcje zajmowały 3–4 popołudnia w tygodniu, odbywały się u uczniów i były niezwykle wyczerpujące: „Kiedy po długim marszu przychodziłem do domu, byłem zmęczony, znużony i nie miałem apetytu. Przy lampie gazowej do późna w nocy odrabiałem zadania domowe. Do łóżka szedłem często z wielkim bólem głowy, lecz zadowolony, że udało mi się załatwić wszystko, co sobie zaplanowałem” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 92). Korepetycje przynosiły dość wysokie dochody. Za godzinę Wilhelm August otrzymywał 50 feningów, a – jak sam twierdził – za tyle można było kupić całą kurę lub 6 kielbasek wiedeńskich. Pieniądze jednak w całości przeznaczał na książki. Historycy podkreślają wielorakie korzyści, wynikające z udzielania prywatnych lekcji: „Uczeń udzielający korepetycji, mimo że z reguły należał do uboższych, w gronie kolegów cieszył się autorytetem, należał bowiem zawsze do najzdolniejszych gimnazjalistów. Same korepetycje przynosiły nie tylko zarobek, ale również pozwalały niekiedy nawiązać cenne w przyszłości znajomości w domach rodziców podopiecznych. Często bowiem traktowano korepetytora jako miłego gościa, po odbytych zajęciach częstowano kawą i ciastkami” (Trzeciakowscy 1987, s. 323).

W życiu Dittrichów dużą rolę odgrywała religia. Co niedzielę cała rodzina udawała się na mszę do kościoła luterańskiego pod wezwaniem św. Piotra. August był wówczas ministrantem i pomocnikiem młodego, ogólnie lubianego pastora Gürtla. Z sentymentem wspominał również czasy przygotowań do komunii, kiedy to wraz z innymi chłopakami płatali różne figle starszemu pastorowi Albertowi.

W niedzielę często rodzina odwiedzała matkę Karla. Te wizyty, jak się wydaje, były jedynie spełnieniem pewnego obowiązku. Ojciec Karla zmarł wcześniej, matka natomiast była osobą antypatyczną. Nie znosiła Marianny i nie przepadała za swoimi wnukami. Rytualem było świętowanie zakończenia roku szkolnego u babki. Przy tej okazji spotykali się wszyscy członkowie rodu. W czasie wizyty dzieci odczytywały swoje oceny. Ponieważ babcia była analfabatką niemal wszystkie wnuki podawały, za cichym przyzwoleniem rodziców, noty lepsze, niż były w rzeczywistości. Jak wspominał Wilhelm, na pogrzebie surowej i wyniosłej matrony nikt nie uronił ani jednej łzy.

Pod koniec gimnazjum Wilhelm August za dobre wyniki nauczania został zwolniony z połowy opłat za szkołę. Postępy w nauce zawdzięczał zarówno swojej inteligencji, jak i sprytowi. W jego wspomnieniach z okresu szkolnego zaledwie jeden raz pojawił się polski kolega. To właśnie on pomagał mu w matematyce, za co August odwdzięczał się korepetycjami z języka niemieckiego. Gimnazjum im. Friedricha Wilhelma uważane było za szkołę niemiecko-ewangelicką. Wprawdzie uczęszczali do niego również polscy uczniowie, lecz stanowili mniejszość. „Przez szereg lat stosunki pomiędzy uczniami Polakami, Niemcami i Żydami układały się normalnie, jak to bywa wśród kolegów z jednej ławy szkolnej.[...] Mijały jednak lata a nasilająca się polityka wynaradawiająca zaborcy nie pozostała bez wpływu na stosunki między uczniami. Stopniowo wzrastał między nimi mur nieufności, ustały kontakty koleżeńskie. Mimo, że uczniowie siedzieli w klasie w ławkach wymieszani narodowo (władze bowiem skrętnie zapobiegały tworzeniu się odrębnych grup uczniów polskich, czy niemieckich) nie łączyły ich przyjacielskie uczucia. Podczas przerw Polacy i Niemcy trzymali się oddzielnie. Nie odwiedzano się wzajemnie w domu. Uczniowie niższych klas dawali wyraz swym uczuciom w formalnych bitwach, jakie toczono na przerwach, lub po wyjściu ze szkoły” (Trzeciakowscy 1987, s. 334)

W 1910 r. klasa Dittricha udała się z nauczycielem botaniki na wycieczkę za miasto, by przez lunetę oglądać Kometę Halleya. Wtedy po raz pierwszy pojawiły się pogłoski, że jest to zjawisko, które przyniesie nieszczęście. I rzeczywiście, jak zauważył Wilhelm, cztery lata później doszło do wybuchu I wojny światowej.

II

Wiadomość o wypowiedzeniu wojny zastała rodzinę na wakacjach w Puszczykowie. Natychmiast podjęto decyzję o powrocie do miasta. Na miejscu okazało się, że przygotowania do wojny były w toku. „Poznań w planach strategicznych przewidziany był jako jeden z głównych punktów oporu na wypadek

ofensywy rosyjskiej. Wśród ludności niemieckiej panował podniosły nastrój. Nikt nie wątpił w rychłe zwycięstwo. Ulicami Poznania, przy dźwiękach orkiestry, przemaszerowały oddziały miejscowego garnizonu, udające się na front i liczni rezerwiści powołani pod broń. Witano ich z entuzjazmem. Do armii zgłaszało się wielu ochotników, niekiedy 17-letnich chłopców” (*Dzieje Poznania* 1994, s. 759). Również Wilhelm August chciał stawić się do wojska: „Chcieliśmy natychmiast pospieszyć pod sztandary, umrzeć na polu walki, jeśli tak chciał los. Dulce et decorum est, pro patria mori!” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 102). Jednak, według zarządzenia władz pruskich każdy, kto chciał być powołany do wojska a był w szkole średniej, musiał najpierw zdać maturę. Wilhelm pisał: „Każdy z nas chciał to zrobić, za wyjątkiem Polaków. Czy dla nich Niemcy coś znaczą? Przeciwnie! Oni mieli nadzieję dzięki tej wojnie zyskać szansę na powstanie swojej ojczyzny” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 102).

Po maturze Wilhelm August natychmiast zgłosił się do armii pruskiej. Spotkało go jednak wielkie rozczarowanie. Z powodu słabego stanu zdrowia i młodego wieku uzyskał odpowiedź odmowną. Dopiero po usilnych prośbach, popartych nawet łzami, otrzymał przydział do mieszczącej się na poznańskiej cytadeli kompanii telegraficznej. Taka decyzja nie ucieszyła ani Wilhelma Augusta, ani jego ojca. Z ulgą przyjęła ją natomiast Marianna, która wiedziała, że w ten sposób syn nie będzie narażony na bezpośredni kontakt z wrogiem.

Augusta umieszczono wraz z innymi żołnierzami w poznańskiej twierdzy. Już po kilku dniach stwierdził, że służba wojskowa „nie jest najłatwiejszym kawałkiem chleba”. Wraz z czternastoma kolegami ulokowany został w małym pomieszczeniu, w którym nie mieściły się nawet łóżka. Żołnierze spali na podłodze, na materacach. Pobudka następowała o 5.30, pół godziny musiało wystarczyć na ubranie się, umycie i zjedzenie śniadania. Po posiłku odbywała się musztra i ćwiczenia w terenie. Wilhelm podsumował ten okres życia: „Długie marsze, strumienie potu, boląca od hełmu głowa, odciski na stopach, co to wszystko miało wspólnego ze świętą wojną na froncie, z miłością do ojczyzny? Tak myśleliśmy za każdym razem przy tych mękach” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 127). Dopiero po trzech tygodniach ćwiczeń zaczęto uczyć rekrutów obsługi telegrafu. Dalsze szkolenie odbywało się w koszarach w Poznaniu, skąd żołnierzy rozsyłano do konkretnych placówek. Wilhelm przebywał najpierw w Forcie VIIa we wsi Marcelin, następnie w Zentrale der Grenadierkaserne, a także w szpitalu św. Łazarza.

W listopadzie 1914 r. skierowano go wraz z grupą dziesięciu żołnierzy na front wschodni, w pobliże Mitau (obecnie Jelgawa), z rozkazem zbudowania centrali telegraficznej. Wilhelm August pisał: „Było strasznie zimno, kiedy w górze, na słupach, które wcześniej musieliśmy wkopać w zmarzniętą ziemię, rozciągaliśmy kable. W bezpośrednim sąsiedztwie zbliżającego się frontu, posuwaliśmy się w bruzdach, które wcześniej wykopywaliśmy czekanami [...]. Często musieliśmy zrywać się w nocy, ponieważ połączenie telefoniczne zrywało się i trzeba było je naprawiać” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 132).

Przed Gwiazdką 1914 r. August został zraniony odłamkiem granatu i skierowany do lazaretu. Następnie posłano go na rekonwalescencję do Poznania, gdzie

trafił tuż przed nowym rokiem. Na początku 1915 r. zgłosił się do koszar i otrzymał przydział do znanej mu już centrali telefonicznej Grenadierkaserne. Służył tam przez dwa lata, do czasu ponownego skierowania na front. Służba w Poznaniu przebiegała bardzo spokojnie. Obsługą telegrafu oprócz Wilhelma zajmowało się jeszcze dwóch żołnierzy: Żyd i Polak, noszący nazwisko Górski. August posiadał także polskiego ordynansa, Pietschmanna, nieustannie pijanego i w tym stanie przeklinającego Niemców i cesarza. Dyskusje z kompanami, jak twierdzi autor wspomnień, wstrząsnęły jego obrazem świata: „Zrozumiałem, że w naszej cesarskiej Rzeszy nie wszystko było wolne od złego. Wprawdzie strasznie się niekiedy kłóciliśmy, lecz nigdy nie przyszło by mi do głowy kogokolwiek z powodu jego pustej mowy zadenuncjować” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 137).

W czasie pobytu w Poznaniu Wilhelm August zaczął myśleć o swojej przyszłości zawodowej. Ponieważ w szkole średniej wykazywał zdolności do języków obcych, postanowił kontynuować naukę. Uzyskał zgodę swoich przełożonych i po pracy uczęszczał na zajęcia do Königlich Akademische (Królewskiej Niemieckiej Akademii) w Poznaniu. Akademia miała pełnić czołową rolę w krzewieniu niemieckiej kultury umysłowej we wschodnich prowincjach II Rzeszy. Cel ten starano się osiągnąć przez prowadzenie fachowych kursów naukowych dla urzędników administracyjnych, prawników, nauczycieli, lekarzy itd. oraz przez organizowanie prelekcji na wzór wykładów uniwersyteckich. Była to uczelnia wyższego typu, jednak pozbawiona prawa nadawania stopni naukowych. Szkoła gwarantowała, że ukończone dwa semestry zostaną zaliczone po wojnie na uniwersytecie. August ukończył cztery semestry, kiedy w styczniu 1917 r. ponownie skierowano go na front.

Należał wówczas do 555 Divisions-Fernsprech-Abteilung, biorącej udział w oblężeniu Dyneburga (obecnie Daugavpils). Za swój udział w walkach otrzymał Żelazny Krzyż II klasy i został mianowany podoficerem. Po krótkim urlopie spędzonym w Poznaniu powrócił na front i wraz ze swoim oddziałem posuwał się na wschód, do Pskowa. W tym czasie zachorował na figówkę gronkowcową (ropne zapalenie skóry na brodzie i policzkach), w wyniku czego skierowano go do szpitala w Wilnie, gdzie przebywał trzy tygodnie.

Kiedy ponownie wrócił pod Psków, front uspokoił się do tego stopnia, że oficerowie, aby utrzymać dotychczasowe morale, musieli zapewnić żołnierzom zajęcia. Raz na tydzień odbywały się prelekcje o kulturze i historii państwa niemieckiego, w których żywo uczestniczył Wilhelm August, wzbudzając swymi wystąpieniami szerokie zainteresowanie. Również, już w węższym gronie, coraz częściej dyskutowano o losach przyszłych Niemiec, w tym o Poznaniu. Wilhelm wspominał fragment takiej rozmowy z polskim lekarzem Leszczyńskim, służącym w pruskiej armii: „Siedziałem i rozmyślałem nad losem Poznania, kiedy poczułem czyjąś rękę na moim ramieniu. To był lekarz, Polak o nazwisku Leszczyński. Pocieszył mnie, jakby odgadł moje myśli: «Nie zwieszaj głowy, wszystko będzie dobrze. Niemcom w Poznaniu nic się nie stanie» – Ha, nic się nie stanie! W to wierzyłem ale nie mogłem pogodzić się z myślą, że Poznań już nie będzie niemiecki. «Z pewnością nie będzie» odpowiedział Leszczyński

beztrosko i cofnął swoją rękę. Cóż – on mógł się tylko cieszyć z takiego obrotu rzeczy” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 166).

Po części z braku innych zajęć, a po części powodowany ciekawością świata Wilhelm starał się nawiązać kontakt z miejscową ludnością. Zaprzyjaźnił się nawet z rosyjską rodziną Zarembów. Córka państwa Zarembów stała się dzięki niemu żoną niemieckiego oficera. W czasie swego pobytu pod Pskowem August odbył krótką wycieczkę krajoznawczą do Dorpatu w Estonii, gdzie zwiedził najstarszy rosyjski uniwersytet.

10 listopada 1918 r. porucznik Claasen obwieścił żołnierzom, że cesarz Niemiec i król Prus Wilhelm II abdykował, co powitano z wielkim entuzjazmem, mimo świadomości, że wojna została przegrana. 25 listopada oddziały niemieckie rozpoczęły wymarsz z Pskowa. Pociągi nie dochodziły już wówczas do miasta, więc do najbliższej stacji trzeba było maszerować 15 km. W drodze powrotnej żołnierze często oglądali się za siebie, gdzie w oddali płonął Psków przejęty przez bolszewików. Wszystkim było niezmiernie przykro, ponieważ przez czas stacjonowania w mieście wielu żołnierzy zaprzyjaźniło się z miejscową ludnością. Pociągiem, który udało się w końcu złapać, można było dostać się tylko do Dyneburga. Na miejscu żołnierze dowiedzieli się, że ustąpienie cesarza wcale nie znaczy dla nich zwolnienie z wojska, lecz wcielenie do innych jednostek. 2 grudnia oddział został skierowany do Königsberg (Króleweca), skąd żołnierze wyruszyli do domów. Po powrocie, na dworcu w Poznaniu, Wilhelm został zaczepiony przez dwóch polskich żołnierzy, którzy kazali mu oddać pas. Udało mu się jednak wykręcić obietnicą, że natychmiast, kiedy tylko dotrze do domu, pozbędzie się wojskowego ubrania.

Rodzice Wilhelma Augusta, w poczuciu zagrożenia ze strony Polaków, w przededniu Powstania Wielkopolskiego opuścili mieszkanie przy Kronprinzenstr. 104 (obecnie ul. Górna Wilda) i przenieśli się do kamienicy należącej do brata Karla, Augusta Dittricha przy Tiergartenstr. 5 (obecnie ul. Zwierzyniecka). Przyczyną przeprowadzki była również pogarszająca się sytuacja materialna Marianny i Karla: „Na początku szła prawdziwej, ogromnej radości całego ludu, marsz od zwycięstwa do zwycięstwa [...] nadzieja na szybkie zakończenie walk. Lecz przecież front wzmacniał się, dochodziło do okropnych walk w okopach, przy dźwiękach werbli. Coraz mniej było środków żywnościowych, niemiecki naród zaczynał głodować. Z niemal codziennego, jednogarnkowego dania z suszonych warzyw, z bezzmiernego chleba bez masła, długo nie można było przeżyć” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 124).

Obok wspomnianych Dittrichów, przy Tiergartenstr. zamieszkiwał wówczas syn Augusta – dr Arthur Dittrich wraz z rodziną. Wilhelm wspominał z rozrzewaniem, że jeszcze dwa miesiące przed zakończeniem wojny w nowym mieszkaniu świętowano w gronie całej rodziny srebrne wesele jego ojca. Już wtedy wujek Oskar Dittrich przewidywał przegraną Niemiec. W domu jednak panowała atmosfera patriotyczna. Inny wujek, Hans Dittrich, przygotował dla rodziców specjalną pieśń z życzeniami dla jubilatów, do melodii „Deutschland, Deutschland über alles”. Odzwierciedlało to nastroje panujące wówczas wśród niemieckich

mieszkańców miasta. Nawet pod koniec wojny, kiedy przegrana była nieunikniona, Niemcy odrzucali myśl o zmianach terytorialnych. Poznań miał pozostać w ich rękach. Oficjalnie nie pojawiały się ostre wypowiedzi antypolskie, administracja zabraniała oświadczeń, mających zaognić stosunki między państwem a ludnością polską. Jednak w rozmaitych wykładach i wystąpieniach podkreślano, że Poznańskie na zawsze zostanie połączone z koroną pruską. Hakata nawoływała do pełnej mobilizacji wszelkich organizacji niemieckich i rozwinięcia propagandy wśród ludności polskiej, polegającej m.in. na straszaniu niskimi płacami w Polsce, słabo rozwiniętymi świadczeniami socjalnymi itd.

Wraz z zakończeniem wojny rodzinę spotkało całe pasmo nieszczęść. W wyniku panującej w Poznaniu grypy zmarła 19-letnia Ingard – córka Oskara Dittricha. Ciężko przeszła chorobę również Marianna, której życie ledwie udało się uratować. Rodzina była przerażona zmianami zachodzącymi w mieście. Jak już wcześniej przewidywał Wilhelm August, Poznań z dnia na dzień przestawał być niemiecki: „Często wędrowałem ulicami, które zupełnie się zmieniały. Słyszało się coraz więcej ludzi mówiących po polsku. Niemcy byli zaczepiani, potrącani. Towary w oknach wystawowych sklepów reklamowano wyłącznie po polsku. Wielu niemieckich żołnierzy cofało się do koszar. Nawoływano do wstępowania do straży obywatelskiej” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 157). W innym miejscu pisał: „Już pod koniec 1918 r. Polacy przejęli władzę w Wielkopolsce. Moja ukochana ojczyzna Poznań została utracona!” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 124).

W 1919 r. Wilhelm August otrzymał oficjalne zwolnienie z armii niemieckiej i postanowił podjąć studia na uniwersytecie we Wrocławiu, na dwóch wydziałach: filozoficznym i filologicznym. We Wrocławiu zamieszkiwali jego krewni, córka Richarda Dittricha – Wally wraz z mężem Karłem Dumke i dwójką dzieci, na których zawsze mógł liczyć. Dzięki pomocy kuzynki wynajął pokój i zaczął skromne, studenckie życie.

W tym czasie jego rodzicom, którzy pozostali w Poznaniu powodziło się coraz gorzej. Kształcenie obydwu synów (Herbert uczęszczał do Elisabeth-Gymnasium) było bardzo kosztowne, a Karłowi groziło zwolnienie z pracy na poczcie, gdzie coraz częściej zatrudniano Polaków. W końcu udało mu się w lipcu 1919 r. uzyskać przeniesienie do Wrocławia. Los wydawał się wówczas bardziej sprzyjać Dittrichom. Okazało się, że nawet nie trzeba było sprzedawać mieszkania, znalazła się bowiem polska rodzina, która przenosiła się w tym czasie do Poznania, dokonano więc zamiany.

Jak podają źródła, najwięcej Niemców opuściło Poznań w latach 1919–1921. Pierwsi wyjechali ci, którzy przed wybuchem Powstania stanowili aparat państwa pruskiego, czyli urzędnicy, policjanci, wojskowi z rodzinami. Nieco później taką decyzję podjęła przytłaczająca większość zamieszkałych tu Niemców, reprezentujących wszystkie grupy zawodowe i społeczne. Wyjeżdżano z przyczyn ekonomicznych i politycznych. Niemcy obawiali się pogorszenia lub utraty dotychczasowych warunków egzystencji, zdegradowania do rangi mniejszości narodowej, odwetu Polaków za prześladowania doznane przed 1919 r. itd. Duże znaczenie miały także czynniki psychiczne.

Kiedy Marianna i Karl przybyli do Wrocławia okazało się, że zostali oszukani. Zostawili przestronne, dobrze urządzone mieszkanie, a zyskali kompletnie zrujnowane pokoje. Po długich poszukiwaniach udało im się w końcu znaleźć dach nad głową w przyzwoitej kamienicy przy Gottschalkstr. 6. Czterema pokojami musieli jednak wkrótce podzielić się z innymi członkami rodziny. Do Wrocławia bowiem w ich ślady sprowadzili się: brat Karla, Oskar, z żoną Grete i dwójką dzieci oraz siostra Marianny, Paula, z mężem Waldemarem Prietzem. W rezultacie Karlowi, Mariannie, Herbertowi i Augustowi pozostały dwa pokoje i komórka, którą przerobiono na sypialnię i pracownię Wilhelma. W pamiętniku odnajdujemy krótką refleksję dotyczącą tamtych czasów: „Było nas dziesięć osób, spotykaliśmy się codziennie w dużym pokoju rodziców. Od czasu do czasu dochodzili do nas dodatkowi goście, tak, że nieustannie panował u nas duży ruch i wrzawa. Ale zawsze wszyscy się świetnie dogadywaliśmy, wiedzieliśmy przecież, że jest to sytuacja przejściowa” (Dittrich, *Pamiętnik*, s. 170). Rzeczywiście, po pewnym czasie wujowie, pracujący podobnie jak Karl na poczcie, zaoszczędzili nieco pieniędzy i wyprowadzili się do własnych mieszkań.

Na zakończenie studiów Wilhelm August przygotował dwie rozprawy, jedną po francusku i jedną filozoficzną, lecz w sumie ukończył studia ze znajomością trzech języków: francuskiego, angielskiego i rosyjskiego. W 1921 r. rozpoczął praktyki w Breslauer-Johannes-Gymnasium. Po ukończeniu studiów każdy nauczyciel otrzymywał przydział do pracy w konkretnej szkole. Wilhelmowi zaproponowano objęcie stanowiska w gimnazjum dla dziewcząt we Wrocławiu, lecz on miał inne plany. W Zgorzelcu czekała na niego przyszła żona, Wally Fischer. Jeszcze przed ślubem ukończył trzeci fakultet – język rosyjski i napisał pracę doktorską z pedagogiki. Wilhelm August powrócił na Śląsk, gdzie zaczął się przed trzystu laty polski wątek historii rodziny Dittrichów.

Mimo tak długiego pobytu w Polsce Dittrichowie pozostali Niemcami. Rodzina przez pokolenia podlegała konfrontacji z innymi narodowościami, najpierw mieszkając na Śląsku, później w Poznaniu. Trwanie w niemieckości było formą utrzymania jedności i niezależności od innych. Adaptacja do życia w Wielkopolsce przebiegła bezproblemowo, głównie dzięki obecności innych Niemców, powszechnemu zastosowaniu języka niemieckiego, silnie ugruntowanej niemieckiej tożsamości i przekonaniu, że ten teren na zawsze już pozostanie w rękach pruskich. Dittrichowie uznali Poznań za swą ojczyznę, będącą nieodłączną częścią Rzeszy. Czytając pamiętnik można odnieść wrażenie, że Polaków w Wielkopolsce prawie nie było. Wspomnienia Wilhelma Augusta nie zawierają żadnych zapisków o oporze miejscowej ludności wobec władzy niemieckiej, o jej dążeniach niepodległościowych, których przecież wszyscy członkowie rodziny byli świadkami. Nie pojawiają się też jakiegokolwiek refleksje dotyczące prawa do zamieszkiwania Niemców w regionie przemocą zajęty i przez wiele dziesięcioleci zarządzany przez Prusaków. Świadczy to prawdopodobnie o celowej ignorancji autora wobec faktu kilkusetletniej przynależności miasta do Polski. Jego uznanie spowodowałoby, że Wilhelm August – zagorzały niemiecki patriota, musiałby wyciągnąć niezbyt dla Rzeszy korzystne wnioski. Być może jednak

był to zabiegi świadomy, autor starał się bowiem opisywać codzienne życie swoje i bliskich, pomijając doniosłe fakty, nie będące bezpośrednim udziałem rodziny, znane wszystkim z historii. Wilhelm August interesująco pokazał specyfikę życia w mieście na przełomie dwóch wieków. Wspomnienia są świadectwem tego, jak wyglądała codzienna egzystencja niemieckich mieszkańców stolicy Wielkopolski, wypełniona przede wszystkim pracą i nauką, ale i pełna rozmaitych rozrywek. Okazuje się, że życie w mieście znajdującym się pod zaborem pruskim było niezwykle barwne. Ówczesni niemieccy Poznaniacy korzystali w pełni ze stworzonych specjalnie dla nich lub odpowiednio zmodyfikowanych instytucji, takich jak: kino, teatr, restauracje. Kwitło życie rodzinne i towarzyskie. Z polskimi i żydowskimi sąsiadami Niemcy starali się żyć zgodnie, zachowując jednak odpowiedni dystans. Zamieszkiwanie obok siebie powodowało jednak, że mimowolnie w podobny sposób wychowywano dzieci, spędzano wolny czas, czy wakacje. Z czasem okazało się, że zarówno Polacy, jak i Niemcy podzielają wspólne wartości: pracowitość i gospodarność, co z kolei przyczyniło się do ugruntowania funkcjonującego do dziś etosu Poznaniaka. Prusacy przyczynili się do zmodyfikowania takich instytucji, jak poczta, czy kolej, wzniesli szereg budowli charakterystycznych dla Poznania. Przywiązanie do miasta, w równym stopniu reprezentowane przez ówczesnych Polaków i Niemców, doprowadziło do powstania specyficznego patriotyzmu lokalnego. Uwidocznił się on szczególnie w czasie I wojny światowej, kiedy Polacy i Niemcy, w tej samej armii, z jednakowym oddaniem walczyli o tę samą poznańską ojczyznę, choć pierwsi pragnęli by była ona częścią Polski a drudzy – Niemiec.

ARCHIWALIA

Dittrich W.A. *Pamiętnik Wilhelma Augusta Dittricha*, t. I, kopia przechowywana w Pracowni Etnologii IAiE PAN w Poznaniu.

LITERATURA

- Bogucka M. 1996, Życie codzienne – spory wokół profilu badań i definicji, *Kwartalnik Historii Kultury Materialnej*, nr 3, s. 247–253.
- Chutkowski J. 1996, *Opowieści o dawnej Legnicy*, Legnica, Wydawnictwo „Atut”.
- Dzieje Poznania* 1994, J. Topolski, L. Trzeciakowski (red.), t. II, cz.1, Warszawa–Poznań, Państwowe Wydawnictwo Naukowe.
- Estkowski E. 2001, Czego uczyć w polskich szkołach elementarnych w ogóle a w wiejskich szczególnie (wypracowanie odczytane na XIII. posiedzeniu pedagogicznym w Poznaniu), *Kronika Miasta Poznania: Pensje, gimnazja, licea*, nr 4, s.55–70.
- Galas A., Galas A. 2001, *Dzieje Śląska w datach*, Wrocław, Wydawnictwo „Rzeka”.
- Jakóbczyk W. 1976, *Pruska Komisja Osadnicza 1886–1919*, Poznań, Wydawnictwo Poznańskie.
- Jakóbczyk W. 1989, *Kolonizatorzy i hakatyści*, Poznań, Wydawnictwo Poznańskie.
- Jaworski R. 1990, Kilka refleksji nad dziejami Wielkopolanek w XIX i na początku XX w., [w:] *Kobieta i społeczeństwo na ziemiach polskich w XIX w.*, A. Żarnowska, A. Schwarz (red.), Warszawa, Instytut Historyczny Uniwersytetu Warszawskiego, s.25–35.

- Karolczak W. 1995, Ludwikowo – kurort dawnego Poznania, *Przegląd Wielkopolski*, nr 3–4, s. 66–69.
- Makowski K. 1992, *Rodzina poznańska w I połowie XIX w.*, Poznań, Wydawnictwo Naukowe UAM.
- Matelski D. 1997, *Mniejszość niemiecka w Wielkopolsce w latach 1919–1939*, Poznań, Wydawnictwo Naukowe UAM.
- Mrugańska-Banaszak M. 1999, *Wilda – dzielnica Poznania 1253–1939*, Poznań, Wydawnictwo Miejskie.
- Szarota T. 1996, Życie codzienne – temat badawczy, czy tylko popularyzacja?, *Kwartalnik Historii Kultury Materialnej*, nr 3, s. 239–245.
- Trzeciakowscy M. i L. 1987, *W dziewiętnastowiecznym Poznaniu*, Poznań, Wydawnictwo Poznańskie.

AGNIESZKA SZCZEPANIAK-KROLL

ALLTAGSLEBEN IN POSEN UM DIE WENDE DES 19. JAHRHUNDERTS
AUS DER PERSPEKTIVE DEUTSCHER FAMILIE DITTRICH

Die Zusammenfassung

Die Alltagsgeschichte Posens wurde fast ausschließlich aus polnischer Sicht dargestellt. Der Artikel über die deutsch-posener Familie Dittrich versucht diese Lücke auszufüllen und stützt sich hauptsächlich auf das Tagebuch Wilhelm August Dittrichs, einem Mitglied einer deutschen Familie. Diese lebte seit dem 18. Jahrhundert als deutsche Immigranten zunächst in Liegnitz und übersiedelte in der ersten Hälfte des 19. Jahrhunderts nach Posen. Der Verfasser des Tagebuchs, er war zu Ende des 19. Jahrhunderts in Posen geboren und hat dort seine Jugendzeit verbracht, beschreibt in seinen Erinnerungen sowohl seine Familie als auch das Leben seiner Heimatstadt. Trotz des langen Aufenthalts in Polen und der ständigen Konfrontation mit einer anderen Nation hat sie sich, um ihre Unabhängigkeit und den Zusammenhalt der Familie zu bewahren, immer als Deutsche angesehen. Das Tagebuch vermittelt den Eindruck, daß zwar die Familie Dittrich Posen als ihre Heimat angesehen haben, in der keine Polen wohnten und die zweifelsohne für immer in deutschen Händen bleiben sollte. Es ist heute nicht mehr zu ermitteln, ob der Verfasser wohlbekannte Tatsachen, z.B. den Widerstand der Polen gegen die preußische Regierung, absichtlich, oder weil sie die Belange der Familie nicht unmittelbar betrafen, unerwähnt ließ. Dennoch dokumentiert das Tagebuch, trotz der aufgezeigten Mängel, einen Eindruck vom Alltagsleben Posens um die Wende zum 20. Jahrhundert.

A. Sz.-K.